BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 17. Niedziela, dnia 17-go sierpnia Rok 1913

TAK BLIZKO!

(OBRAZEK Z ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.)

(Ciąg dalszy).

Stanęło zaś na tem nareszcie, że będą Stacha wspierały cichaczem, a także jego matkę wdowę, łamiącą się z gospodarką, z jedną tylko dziewczyną i parobkiem.

— Ale, mamuchno jak tatko mnie zmusić będą chcieli za tego Lumpen...

— To już ja go poczęstuję! Oj, Panie mój, tak poczęstuję, co nie będzie wiedział, gdzie droga do jego budy...

— On jak tu przyjedzie, to ciągle ino za mną łazi, — szepnęła, pocieszona już trochę Zosia.

— Niech łazi, a już ja mu!... Zresztą — i machnęła rezolutnie spracowaną dłonią — jak go nie stanie, to nic na tem nie stracimy. Choćby ich wszystkich licho porwało, i tak znów czarci coś tu z nich zgubią po drodze.*)

Koło południa dziewczę, trochę już utulone, przebrało się i poszło dojrzeć gospodarstwa, wyręczając matkę, zajętą sutym obiadem, który przez wracającego z Cieszyna chłopaka z końmi kazał pan Zawrała przygotować na piątą wieczorem.

— Pewnie nam znów Zawadnego i tego Lumpenscheidla przywiezie! — mruczała niechętnie gosposia. Wiedziona jednak starym obyczajem gościnności, wyciągała jedne po drugich zapasy z komory.

— Niech się już raz najedzą i napiją dosyta! Bóg świadkiem, że im ni jadła, ni napitku nie żałuję, lecz wara od Zośki, bo im chyba te niemieckie ślepie wydrapię!

Ale wbiegła do kuchni i zadyszana córka.

— Mateczko, mateczko! cobyście wiedzieli! Antek wyprzągł konie, to ja się jego pytała, co tam w Cieszynie.

— No i cóż, Zosiu?

— Widział jako tatka z tym Niemcem i z przełożonym poszli do starostwa, a potem do notaryusza.

*) Krąży tu zabawna gadka między ludem, iż raz w Brandenburgii nie stało Niemców, bo wymarli. Wtedy jedno ich książę napisało do Lucypera, żeby ich tam przysłał trochę. Wyprawił tedy Lucyper djabłów, co Niemców we worach do Brandenburgii nieśli. Gdy djabli owi nad Śląskiem przelatywali, rozpruł się wór jeden i wyleciało zeń Niemców na Śląsk co niemiara.

Pani Zawrałowa upuściła ze zdumienia dużą łyżkę dziurkowaną, którą właśnie odszumowywała rosół.

Warząchew, wpadając gwałtownie do garczka, obryzgała ukropem ulubionego kotka Zosi, co, ułożony wygodnie na drewnianej podstawce do latarni, tuż nad żelazną płytą, szemrząc pacierze, napawał się wonią smacznego rosołu i duszącej się tuż około niego pieczeni.

Kot skoczył na równe nogi i bez względu na porozstawiane dokoła różne garnki, miski i rynki, przewracając je po drodze, wyleciał miaucząc i parskając z kuchni.

— Do notaryusza? — zawołała gosposia, nie zważając na pocieszne intermezzo z kotem Zosi.

— A tak, do p. Kotuli, na małym rynku; a Antek słyszał, że mówili po drodze coś o gruncie przy rzeczce, o pile i o jakiejś maszynie.

— Matko najświętsza! znów coś nowego będzie!

I nagle jasna myśl przyszła jej do głowy.

— Wiesz co, Zosieńko, mnie się wszystko widzi, co ten Lumpenscheidel więcej się jeszcze koło naszych pieniędzy, niż koło ciebie swęda.

— Och, ja bo się wcale nie boję, — odparło rezolutnie dziewczę. — Stach mi mówił, co pókim nie pełnoletnia, to się mogę odwołać do pana starosty, a i w kościele ks. pastorowi powiedzieć „nie“, choćby mnie tatko powlekli do ślubu.

— Tak daleko nie zajdzie, moje kochanie; prędzejby, Boże odpuść mi, cieśliczka*) była w robocie, niż ciebie niebogo Niemcom na pastwębym oddała!

I gorący, długi pocałunek, złożony na czole Zosi, zamknął tę rozmowę.

Śliczne dziewczę wróciło do swego pokoiku, niosąc oparzonego kotka na ręce.

Okrywało pieszczotami ładne zwierzę, szepcąc mu poufnie do ucha:

— Poczciwy kotku! Nie bój się, twoja pani pierwej umrze, niż się odda Niemcowi!

III.

W pięknym saloniku Zawrałów stoi duży okrągły stół, zasłany śnieżnej białości obrusem.

Iskrzą się na nim kryształowe naczynia, porcelanowe talerze i srebrne sztućce dokoła.

W dużym szklanym dzbanie pieni się wyborny leżak cieszyński; na węglami wypełnionej podstawce wre „warzonka“, ulubiony napój śląskiego rolnika, składa-

*) Siekiera.

jący się z wyskoku, miodu, świeżego masełka i herbaty lub wody — coś w rodzaju „krupnika“ litewskiego.

Naprost stołu duży portret, ubrany czarno-żółtemi chorągiewkami; lecz na przeciwnej ścianie, teraz twarzą do widzów, portret bohatera z pod Wiednia, na biało-czerwonem tle jedwabnego, własną rączką Zosi wyszytego proporca.

Za stołem siedzą rozparci: p. Zawrała, przełożony gminy Zawadny, i p. Lumpenscheidel, nadleśniczy arcyksiążęcy.

Zawrałę znamy już trochę ze sceny przy krzyżu.

Zawadny, majętny rolnik, syn zacnego człowieka, który, poszedłszy podczas wojny węgierskiej za góry, niejednego dobrego figla wypłatał Niemcom i niejednej dobrze nadtargnął czupryny — przez matkę, wdowę oddany do szkół niemieckich w Opawie, tak nasiąkł duchem germanizmu, iż wróciwszy do swoich, chciał całą wieś na niemieckie przeinaczyć kopyto.

Częścią groźbą starostwa, częścią jego namowami i wpływem, doprowadził do tego, iż go wybrano przełożonym.

Od tego czasu p. Zawadny duszą i ciałem był Niemcom oddany. Uśmiech pana starosty był mu szczęścia szczytem, możność kaleczenia mowy z nad Sprei uciechą jedyną. Prawa ręka rządu, był najdzielniejszym agitatorem przy wyborach, a co zabawniejsze, iż nieraz z własnej kieszeni ponosił znaczne ofiary, byle tylko zawsze i wszędzie przeszkadzać narodowej sprawie.

On i uczeń jego, Zawrała, byli, niestety, znani w całej okolicy jako najzaciętsi wrogowie Ślązaków i nieraz dobrze im się dali we znaki.

Prawdą jest jednak, iż gdyby zapytać z nich którego, czy wie, co czyni? z pewnością odpowiedziećby nie umiał. Widzieli jednak rozpościerających się paniczków z krzyżykami, a p. starosta i jednemu i drugiemu pokazywał w oddali jak gruszki na wierzbie... te pożądane krzyżyki. Pozwalał siadać przy sobie, podawał rękę, uśmiechał się i ze swej kancelaryi odprowadzał ich aż na schody. Za przykładem pana starosty, chyliły głowy przed obu wieśniakami wszystkie tuzinkowe gryzipiórki z biura. Zresztą pan starosta miał cały złoty kołnierz u munduru i całe złote mankiety, pierś okrytą różnobarwnemi wstążeczkami, a podawał im rękę i nie mówił do nich inaczej, jak: mein vielgeliebter Herr von Zawrała! Innym zaś rolnikom poprostu... wy.

Oto i cała tajemnica.

Przytem jeszcze, jadąc do Jabłonkowa, każdy urzędnik polityczny stawał w Bystrzycy i wieźć się kazał do swej wioski.

Także i panu Lumpenscheidlowi, choć go ani bardzo kochanym, ani wielce cenionym nikt nigdy nie nazwał w życiu, bardzo się dobrze wiodło na tym Bożym świecie.

Był pracowity, oszczędny i zabiegliwy, a wszystkie trzy niemieckie cnoty kardynalne w takim posiadał stopniu, iż jako nadleśny arcyksiążęcy, choć pobierał tylko 800 złr. rocznie, umiał sobie z tej szczupłej kwoty oszczędzić w ciągu lat dziesiątka około 50 000 złr., nie odmawiając sobie przytem niczego.

Wysokiego wzrostu, łysawy trochę, jasny blondyn, Sakson czystej rasy, syn ubogich rodziców, którzy niegdyś na Śląsk przybyli — zapomniał z czasem zupełnie, że szanowna jego mama przekroczyła granicę boso, niosąc go w brudnem prześcieradle; zapomniał, że obok maleńki wózek pełen garczków i betów ciągnął wychudły saksoński pudel, nielitościwie poganiany przez ojca rodziny, niosącego buty na kiju i raczącego się z porcelanki cuchnącym pruskim dreikönigiem. Wszystkiego tego zapomniał z czasem pan nadleśny i gdy, podpiwszy sobie, zaczął opowiadać co z przeszłości, to p. Lumpenscheidel (ojciec) figurował zawsze w tem opowiadaniu raz jako Kommercienrath, znów jako Bürgermeister, lub Bezirksvorsteher jakiego saksońskiego miasteczka.

Z twarzy jednak źle się nie przedstawiał pan nadleśny; czterdziestki jeszcze po nim nie znać było i gdyby nie ta oszczędność, o której już głośno mówić zaczynano, i nie fatalny nałóg... mówienia, dla przypodobania się Zosi, ciągle lichą polszczyzną, pan Lumpenscheidel mógłby ujść jeszcze.

Rozmowa toczyła się po niemiecku, płynnie i poprawnie ze strony nadleśnego, kulejąc uczciwie w ustach nieprzyzwyczajonych do tego języka wieśniaków.

— Moi panowie, — rzekł w tym języku Lumpenscheidel, — teraz chodzi o to tylko, aby się przed czasem o naszem przedsiębiorstwie nie dowiedziano. Prosiłem o to i starosty i notaryusza.

— Żebyśmy tylko dobrze na tej całej sprawie wyjść mogli, — odparł z lekkiem westchnieniem Zawrała.

— Ach, co do tego, to niema o czem mówić nawet! Ja za miesiąc porzucam posadę, a las cały nie na moje nazwisko kupiony; pan Zawrała dostarcza maszynę, plac pod budowę i robotnika. W kontrakcie między nami moje nazwisko także na jaw nie wychodzi; ze strony więc dyrekcyi dóbr arcyksiążęcych jestem zupełnie zasłonięty.

— Ale czy tylko mądrze się to wszystko odbyło!... — mówił, skrobiąc się po łysinie, gospodarz domu. — Bo jeżeli z trzecią osobą kontrakt mój zawarty, a pieniądze pan bierzesz na proste notaryalne skrypta i dopiero od siebie wkładasz je pan w przedsiębiorstwo, to mi się zawsze widzi, iż w razie nieszczęścia jakiego moje skrypta zostaną skryptami tylko, bo na czemże pana szukać będę!

— Co się też panu roi panie Zawrało! — zawołał nadleśny, niby z rodzajem oburzenia. — Będziesz wkrótce moim teściem, a przecież teścia się nie oszukuje. Przytem masz moje skrypta...

— Bo to i notaryusz mówił mi na boku — on poczciwy człowiek przecie — że jako urzędnik musi to spisać czego żądamy, jeśli w tem nic nieprawnego niema, ale zwrócił moję uwagę i na to, że ponieważ wy, panie nadleśniczy, nie macie deklarowanego majątku, to i skrypta wasze na nic się nie przydadzą.

„Ach, tak ci notaryusz powiedział! — pomyślał w duszy Lumpenscheidel. — Poczekaj-no, panie, zapłacisz mi ty za te nieproszone uwagi i uczciwość nieproszoną!“

— Notaryusz zrobił bardzo pięknie, — dodał głośno. — Er hat als ein ehrlicher Mann gehandelt. Ale to między nami, to wszystko prosta formalność tylko! Dałeś mi 35 000 złr., panie Zawrało, ale ja to, według umowy, uważam już jako wiano panny Zofii; skrypta zaś podpisałem tylko na wypadek niedojścia do skutku mego małżeństwa. Bądź co bądź jednak, przypuściłem cię do spółki zyskownego przedsiębiorstwa, bo nasza piła, dając taniej deski i robotę, niż arcyksiążęca, w dwójnasób tyle będzie miała zatrudnienia. Hier ist mein Ehrenwort, panie Zawrało, że za dwa lata schowasz piętnaście tysięcy samych tylko zysków do kieszeni...

Po kilku dzbankach piwa przy obiedzie, wypróżniano już teraz trzeci imbryczek „warzonki“, cóż więc dziwnego, że pewność Lumpenscheidla i gruby zysk obiecany przewróciły wieśniakowi w głowie zupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czego uczy Pismo święte o wstrzemięźliwości od trunków?

(Ciąg dalszy.)

Rozsądek pijanego jest przyćmiony, a ślepa wiara w siebie posunięta do szaleństwa. Nabal miał się za zupełnie bezpiecznego właśnie w chwili, gdy życie jego wisiało na włosku.

Nabal umarł w kilka dni później, *„gdyż serce jego obumarło i stał się jako kamień"*. Skutkiem pijaństwa była przedwczesna śmierć, którą Pan Bóg ukarał Nabala. Trunki podkopują zdrowie i skracają życie, a liczba tych, którzy umierają co roku wskutek nadużycia alkoholu, dosięga dziesiątek tysięcy.

Każdy pijak jest Nabalem czyli głupcem, bo bierze do ust swoich wroga, wydzierającego mu przytomność, wykradającego zdrowe zmysły, grabiącego zdrowie i skracającego mu życie. Tylko zupełna trzeźwość i wstrzemięźliwość jest rzeczą mądrą. Ale mądrości należy się uczyć od mędrca.

VI. Salomon. Po śmierci Dawida wstąpił na tron syn jego Salomon. Na samym wstępie rządów swoich modlił się on do Pana Boga w te słowa: *Daj słudze Twemu serce rozumne, aby mógł lud Twój sądzić i rozeznawać między złem a dobrem"*.

Podobała się ta modlitwa Panu i dlatego rzekł do niego we śnie: *„Żeś nie prosił o długie zdrowie, ani o bogactwa, ani o śmierć nieprzyjaciół twoich, ale o mądrość dla sprawiedliwego sądzenia, uczynię ci według prośby twojej i dam ci serce mądre i rozumne. Lecz i to czegoś nie żądał, dam ci, to jest bogactwo i sławę, a jeśli będziesz strzegł przykazań moich, jak twój ojciec, przedłużę dni twoje"*.

I zasłynął król Salomon z mądrości swojej, a księgi, które napisał i pieśni, zamieszczone są w Piśmie świętem jako dzieła powstałe pod natchnieniem Ducha Świętego. Jedno z nich nosi nazwę „Księga Przypowieści", w której Salomon podaje nauki i upomnienia dla dorastającej młodzieży, przestrzegając przed grzechem i zachęcając do cnoty. W tej „Księdze Przypowieści" pisze:

„Komu bieda? czyjemu ojcu bieda? komu swary? komu doły? komu bez przyczyny rany? komu płynienie z oczu? [1]) *Jeżeli nie tym, którzy zasiadają na winie a bawią się kubków* [2]) *wytrząsaniem?*

Nie patrz na wino gdy się rumieni, gdy się rozjaśni w śklanicy barwa jego: łagodnie wchodzi.

Ale na końcu ukąsi jak wąż, a jako żmija jad rozpuści.

Oczy twe będą patrzeć na cudze: a serce twe będzie mówić przewrotności.

I będziesz jako śpiący pośród morza i jako uśpiony sternik gdy ster straci.

I rzeczesz: Bili mnie, ale mnie nie bolało, ciągnęli mnie, a nie czułem. Kiedyż ocucę i zasię wino znajdę?"

Widzimy tu cały obraz nieszczęścia, spowodowanego pijaństwem. Pijak jest nędznym gadułą, używa niewyraźnych wykrzykników i jest niezdolny do posługiwania się cudownym darem mowy. Człowiek różni się od bydlęcia duszą i mową. A czy pijak umie rozsądnie mówić? Nie! On bełkocze! Jest kłótliwy, złośliwy i swarliwy. Sam się nieraz kaleczy bez powodu, bo niema czucia, ale dlatego też łatwo kaleczy drugich. Oczy jego są zaczerwienione, podbite, płonące dzikim ogniem lub blaskiem szału. Cóż za ofiara! Cierpi za własne winy, to prawda, ale często dochodzi do tego również z powodu przykładu i namowy in[illegible]h. Ofiary takie istniały za czasów Salomona i dziś niestety istnieją.

Pogromcą człowieka w tym razie jest alkohol, znajdujący się — jak wiemy — w każdym trunku bez wyjątku. Już Salomon zauważył, że sok z winogron, który po wyciśnięciu jest mętny, rozjaśnia się po fermentacyi i wtedy kąsa jak wąż i zatruwa jadem jak żmija. Działanie tego jadu jest osobliwe, bo przymusza ofiarę do szukania pomocy u pogromcy. „Napiję się znowu!" To straszne zaślepienie!

Dlatego mędrzec nad mędrcami mówi: „Nie patrz na trunek" — nawet nie patrz — by uniknąć pożądliwoci. Salomon nie mówi wcale: „Pij umiarkowanie" — „Używaj go rozważnie" — lecz woła: „Nie patrz na trunek", oddal się od niego, bo inaczej staniesz się pastwą i ofiarą! Słowa te mówi do syna swego, a więc są one przedewszystkiem stosowne dla naszych dzieci, dla chłopców i dziewcząt.

Przez usta Salomona zaleca Pismo św. wyraźnie zupełną wstrzemięźliwość od wszelkich trunków, bo sok winny, gdy się rozjaśni po fermentacyi, zawiera alkohol, a ten jest składnikiem wszystkich trunków, nie tylko wina, ale także piwa, araku, rumu, herbaty z rumem, wódki, miodu i t. p. (Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Wzrok osłabiony i oczy zaczerwieniałe od pijaństwa.
[2]) Gra w kości.

Grzeczność, układność, obyczajność, delikatność, uniżoność,

Znaczą w ogólności ujmujące obchodzenie się z ludźmi, będące cechą ogłady światowej.

Grzeczność, od k'rzeczy, znaczyła dawniej to co dzisiaj dorzeczność, przyzwoitość. W XVIII wieku wyraz bardzo używany a to samo znaczący dawniej wyraz polski dworstwo wyszedł z użycia. Dzisiaj grzeczność jest przymiotem człowieka okrzesanego, który w towarzystwie więcej zwraca uwagi na innych niż na siebie; który zachowaniem form towarzyskich, ujmującem obejściem się i uprzejmem słowem umie uszanować godność osobistą innego, a nawet jego miłość własną pogłaskać. Mówi się: grzeczny człowiek, słowo grzeczne, list grzeczny, przyjęcie grzeczne, komplement grzeczny, być grzecznym, prawić grzeczności, grzecznie kogo przyjąć, powitać, znać się na grzeczności, tysiące grzeczności, grzeczność towarzyska.

„Grzeczność talent nielada, ten rad w dworach gości". *Krasicki.*

„Za moich czasów i grzeczność
Nie taka jak teraz była". *Krasicki.*

„Gdzie grzeczność wymuszona, nigdy się kunszt tak dobrze nie ułoży, żeby go przezorne oko nie dostrzegło". *Krasicki.*

„Uprzejmość gospodarza, grzeczność gospodyni, wszystko niewymowny dawało wdzięk domowi". *Krasicki.*

„Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę". *Mickiewicz.*

„Grzeczność nie jest rzeczą małą:
Kiedy się człowiek uczy ważyć jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje". *Mickiewicz.*

Układność jest sztuką przybierania takiej powierzchowności, w którejby widać było uprzedzającą gotowość zastosowania się do woli i życzenia innych, a temsamem ujęcia ich dla siebie.

„A to najpilniejsza, abyś sobie nadobną układnością, a poczciwem zachowaniem miłość wszystkich jednał". *Rej.*

„Nic milszego ani układniejszego nadeń w oczach moich nie było". *Orzechowski.*

„Pomierną a poczciwą układnością zachowaj się każdemu". *Rej.*

„Słudze pańskiemu nie trzeba się wadzić, ale układnym być ku wszystkim". *Wujek.*

„Twarz jej wesołem wejrzeniem a stateczną układnością tak była umiarkowana, iż patrzących do nabożeństwa i skruchy niejakiej wiodła". *Skarga.*

„Był człowiek dziwnie układny, do każdego się natury sposobić umiał". *Skarga.*

„Skłonił się gościom układnie". *Mickiewicz.*

D e l i k a t n o ś ć właściwie oznacza własność tego, co jest cienkie jak pajęczyna a miękkie jak jedwab. Stąd delikatnością zowiemy ten kwiat grzeczności, właściwej ludziom dobrze wychowanym, który zależy na tem, żeby w stosunkach towarzyskich nie tylko nie być szorstkim, i w najlżejszy nawet sposób innych nie ukłuć, ale żeby drogie dla ich serca uczucia, ich miłość własną, a nawet słabości o ile można oszczędzać. Delikatny człowiek daje wzgląd na najmniejsze nawet drobnostki, a żaden przygrubszy albo rubaszny wyraz nigdy z ust jego nie wyjdzie. On i żartem nietylko jak kotek nie udrapnie i jak jeż nie ukole, ale nawet nie dotknie tej struny, któraby komu niemiło zabrzmieć w uszach mogła. On natrętną prośbą nie nadużyje dobroci, ani przesadzoną pochwałą w oczy nie zarumieni skromności. W każdem zaś słowie i na każdym kroku stara się dać poznać drugiemu, że radby myśli jego zgadywać i chęci uprzedzać. Delikatność jest cechą ludzi dobrze wychowanych. Gdzie jej niema, tam odrazu widać brak domowego wychowania. Mówi się: zachować delikatność, nie wspominać czego przez delikatność, zbytek delikatności, brak delikatności.

„Wiem ja dobrze o delikatności, którą masz w sądzeniu bliźniego". *Krasicki.*

„Czuję w postępku jego delikatność, iż chciałeś mi umniejszyć żalu". *Krasicki.*

„Nie obrażam delikatności twojej ofiarowaniem nagrody". *Krasicki.*

„Gdzie szło o wydanie delikatnych uczuć serca". *Mickiewicz.*

„Niepodobna jest wyobrazić tej delikatności i wdzięku, z jakim księżna zdaje się zgadywać i uprzedzać myśli przyjaciela". *Odyniec.*

„Przez grzeczność i delikatność udawali, że wcale na nią nie patrzą". *Kraszewski.*

O b y c z a j n o ś ć oznacza już to dobre obyczaje, już zachowywanie prawideł przystojności, które między ludźmi dobrze wychowanymi i w towarzystwie przyzwoitem, jako obyczaj są uświęcone i ściśle przestrzegane. Sprzeciwia się tedy obyczajności to, co trąci prostactwem, n. p. używanie wyrazów karczemnych, oblizywanie palców, pozieranie na obecnych, ucieranie nosa bez chustki, jak mówią „ze czterdziestu": chociaż to moralności nie obraża i prosty gmin inaczej postępować nie zwykł.

„Jeśli równego abo podlejszego czapeczką, abo poczciwością (grzecznością) uprzedzimy, tem nie będziemy podlejszemi, ale owszem obyczajniejszemi". *Erazm.*

„Sam je z góry gromiąc i psami je przez nieobyczajność nazywając, uspokoił". *Skarga.*

„U nas domy pańskie szkołami były obyczajności i miłości ojczyzny". *Krasicki.*

„Obyczajność uważa co mówi i co czynić przystoi". *Zabłocki.*

„Najlepsza obyczajności księga — pilne a rozsądne zapatrywanie się na ludzi". *Krasicki.*

U n i ż o n o ś ć u starych Polaków znaczyła prawie zupełnie to samo, co dziś „moje uszanowanie". Malowały ją używane powszechnie wyrażenia grzeczności, jak: upadam do nóg, całuję nogi, ścielę się pod stopki. Pisząc do wyższego a nawet do równego sobie pana-brata, szlachcic podpisywał się „najniższym sługą". Gdy zaś pisał do niższego, lub do tego, kogo nie wiele sobie ważył, podpisywał się uniżonym sługą. Widzimy stąd, że uniżoność w staropolszczyźnie była po prostu wyrazem szlacheckiej grzeczności, chociaż i najgłębszą cześć wyrażać mogła. Dzisiaj bierze się zwykle za objaw prawdziwej, albo i udanej pokory; a gdy się posuwa do nadskakiwania i płaszczenia się, może być nawet z ubliżeniem swojej osobistej godności.

„Tom ja z powinną uniżonością do Waszej Książęcej mości pisać umyślił". *Skarga.*

„Pójdę oddać uniżoność moję godnej małżonce jego". *Krasicki.*

„O których gdy kto wspomniał, pan sędzia skłaniał głowę z szyderską trochę uniżonością". *Kraszewski.*

Dla domu i gospodarstwa.

— Sztuczna lodownia. Nie każdy posiada środki, ażeby sobie kupić lodownię, — nie każdy może kupić lód. Ale i najuboższy może mieć lodowo-zimną wodę, i inne płyny, jak mleko, herbatę i t. d., jeżeli pójdzie za przykładem dawnych koczujących w gorących krajach południowych narodów, którzy lodownie swoje wieszali, i teraz jeszcze wieszają na drzewach, w postaci glinianych garnków i dzbanów. Pierwszą taką miniaturową lodownię zdarzyło mi się widzieć w Częstochowie (Texaskiej), owej kolebce emigracyi polskiej w Ameryce. Było to dwadzieścia kilka lat temu, podczas mojej wizyty u księdza Z. Dzień był bardzo gorący i siedziałem zmęczony i spragniony na schodach monumentalnego kościoła miejscowego. Kiedy gospodarz podał mi wodę do picia, wahałem się z przyjęciem, w obawie, że dostanę jakiś ciepły i niesmaczny płyn. Omyliłem się jednakże bardzo przyjemnie, kiedy, ku mojemu niepomiernemu zdziwieniu, napiłem się doskonałej, kryształowo-czystej i lodowo-zimnej wody. „Pokażę Panu moją lodownię" — odezwał się uprzejmy gospodarz z uśmiechem i zaprowadził mnie do małego otworu w murze, niczem nie osłoniętego, w którym stało gliniane naczynie, napełnione wodą i okryte szczelnie dużym workiem od kartofli, polewanym skrupulatnie wodą od czasu do czasu. — Oto i lodownia, jaką każdy może sobie urządzić w domu na otwartym oknie w śpiżarni albo w sypialni. Naczynie powinno być gliniane, ponieważ jest ono porowatem, i wówczas proces chłodzenia jest zupełnie automatycznym. Naczynie wypaca wodę, zaś powietrze zewnętrzne dostatecznie ją wychładza. W celu przyspieszenia tego procesu, okrywa się to naczynie jakąś szmatą i skrupulatnie polewa od czasu do czasu wodą. W ten sposób można i inne rzeczy przechowywać chłodne, lecz, jeżeli to nie są płyny, naczynie powinno być dobrze zamknięte. Okazało się, że w ten sposób można używać nietylko glinianych naczyń, ale także i innych takich jak flaszki, blaszanki i t. p.